

# Informator krajoznawczy

Nr 5/18 (maj) 2011



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze**  
**Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra**  
**Komisja Krajoznawcza**

---

W numerze:

Str. 3 Wprowadzenie

Str. 4 Andrzej Scheer

Str. 5 Poiana Mikului na rumuńskiej Bukowinie

Str. 7 Spacer krajoznawczy do Purpurowych Jeziorok

Str. 10 Wycieczka na Bobrowe Skały

Str. 13 Seminarium krajoznawcze „Mijające krajobrazy Ziemi Lwóweckiej”

Str. 21 Działoszyn – świątynia księdza Popiełuszki

Tekst, redakcja, zdjęcia: KRZYSZTOF TĘCZA

## Wprowadzenie

W maju 2011 roku mija pierwsza rocznica jak odszedł od nas Andrzej Scheer, założyciel i jedyny prezes Bractwa Krzyżowego. Wiele osób zwracało się do niego Wielki Bracie. Niestety nie ma osoby mogącej zastąpić Andrzeja w dalszym prowadzeniu Klubu a więc przestanie on istnieć. Bardzo ważnym wydarzeniem było seminarium krajoznawcze we Wleniu, trzecie tego typu w Polsce. Zasługuje ono tym bardziej na uwagę gdyż zorganizowane zostało przez działaczy z Oddziału w Lwówku Śląskim i Sudety Zachodnie w Jeleniej Górze. W tak piękną pogodę jaką mieliśmy w maju nie mogło zabraknąć naszych głównych imprez, czyli Rajdu na Raty i Spaceru Krajoznawczego. W ramach tego pierwszego powędrowaliśmy na Bobrowe Skały, a drugiego do Purpurowych Jeziorok. Pozwoliłem sobie, w ramach przybliżania walorów krajoznawczych położonych nieco dalej od Jeleniej Góry, przybliżyć kościół w Działoszynie, w którym odbył swoją mszę prymicyjną ksiądz Jerzy Popiełuszko. Na koniec przedstawiam częściowo, zorganizowaną w latach siedemdziesiątych zeszłego stulecia wyprawę w góry Rumunii. Mam nadzieję, iż tak wiele tematów przedstawionych w majowym IK zachęci wszystkich do jego uważnego przeczytania.

Krzysztof Tęcza

## Andrzej Scheer

Dnia 16 maja 2011 roku mija rok od przedwczesnej śmierci Andrzeja Scheera. Przypominam o tym nie dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że był on wybitnym krajoznawcą. Do tego, jako mieszkaniec Świdnicy, swoimi działaniami przyczyniał się do popularyzacji Dolnego Śląska. Udawało mu się to znakomicie, a wbrew pozorom wcale nie jest to prosta sprawa. Niektórzy zaszufiadkują Go jako regionalistę. Na pewno tak. Jednak nie do końca. Swoimi posunięciami nie tylko że zaraził sporą grupę ludzi do tematyki związanej z dawnym prawem ale także przekonał ich do tego by brali czynny udział w poczynaniach mających na celu przybliżanie tej niszowej tematyki innym oraz by pomagali w ratowaniu tych niedużych obiektów jakimi są krzyże pokutne zwane również krzyżami pojednania. Andrzej założył Ogólnopolski Klub Badaczy i Miłośników Krzyży Pokutnych i Rzeźb Przydrożnych znany jako Bractwo Krzyżowe. Dało to początek zainteresowania tymi niezauważanymi do tej pory obiektami. Mimo, że są one niejednokrotnie przepiękne, ba mimo iż często ich twórcami byli wybitni rzeźbiarze, nie uważano ich za obiekty "poważne". Bo dla uczonych nie były godne ich zainteresowania jako obiekty badań. Jednak Andrzej dostrzegając ich piękno oraz zawartą w nich historię zajął się nimi na tyle poważnie, że setki ludzi postanowiło, nieraz na długie lata, ustawić swoje życie pod tym właśnie kątem. Przyjeżdżali oni na organizowane przez ćwierć wieku Biesiady Pokutne, podczas których poznawali nowe tereny, nowe obiekty czy po prostu dobrze się bawili. Bo przecież spotkania takie to nie tylko zwiedzanie. To także poza prelekcjami i wieczornymi prezentacjami, spotkania towarzyskie. To okazja by wymieniać swoje doświadczenia i rozmawiać o swoich pasjach. Przecież uczestnicy Biesiad to normalni ludzie, którzy nie zamykali się tylko w jednym temacie. Mieli także inne zainteresowania. Ponieważ przyjeżdżali oni z całej Polski a niejednokrotnie z krajów sąsiednich zawsze było o czym pogadać. Andrzej wymyślał wiele ciekawych form rozruszania towarzystwa. Choćby nadawanie krzyży za ilość przyjazdów na spotkania. Bardzo się to wszystkim spodobało, tym bardziej, że była to niesamowita pamiątka, wzbudzająca szczere zainteresowanie znajomych, a także ukazanie innym ilu wyrzeczeń trzeba było dokonać by zasłużyć sobie na nią. Ponieważ przez wiele lat, będąc członkiem Bractwa, jeździłem na Biesiady, wiem że spotkania te traktowane były jako spotkania rodzinne. Tak! Bractwo stało się jedną wielką rodziną. Co prawda niektórych mogły śmieszyć odzywki typu Bracie, Siostrzo, ale dla nas było to normalne i nikogo nie raziło. Wszyscy byliśmy równi. I było to bardzo miłe. Trwało to przez ćwierć wieku czyli okres życia jednego pokolenia. Ostatnio przeglądałem zdjęcia z naszych spotkań i znalazłem takie, które ułożone obok siebie ukazywały jakie zmiany zaszły w naszym życiu. Otóż są to zdjęcia zrobione przy tym samym krzyżu ale w odstępie 15 - 20 lat. Na pierwszym zdjęciu jesteśmy z naszymi kilku i kilkunastoletnimi pociechami. Na drugim zaś jesteśmy znowu my ale wydawałoby się z jakimiś obcymi młodymi ludźmi. A to przecież są nasze własne dzieci, tyle że starsze właśnie o tych kilkanaście lat. Tylko my się nie zmieniliśmy. Mało tego niektórzy z członków Bractwa po skończeniu nauki dalej zajmowali się

tymi kamiennymi obiektami. Wynika z tego, że działalność prowadzona przez Andrzeja zarówno skupiała liczne grono osób zainteresowanych tą tematyką ale także miała w wielu wypadkach wpływ na dalsze życie i postępowanie młodych ludzi wchodzących dopiero w dorosłe życie. Życie pełne podchodów i niesprawiedliwości. Życie w którym ciągle musimy wybierać i iść na kompromisy.

Pamiętam moje pierwsze spotkanie z Andrzejem. Było to jeszcze długo przed założeniem Bractwa. Przyjechał On wtedy do Jeleniej Góry by w Regionalnej Pracowni Krajoznawczej zaprezentować prelekcje właśnie o krzyżach pokutnych. Przyszło wiele osób. Jednak nie to jest ważne. Podczas prezentacji wyraźnie wyczuwało się emocje. Andrzej nie potrafił ich ukryć. Widać było, że w miarę upływu czasu Andrzej zapominał o spokoju, o zachowaniu dystansu do tego co mówił. On po prostu żył w świecie który właśnie przedstawiał. Ja gdy to odczułem byłem pewny, że z takim człowiekiem warto podejmować wspólne wyzwania. I dlatego gdy doszły do mnie wieści o propozycji założenia Bractwa nie wahałem się ani chwili. A że było to dobre posunięcie świadczy fakt frekwencji na I Biesiadzie Pokutnej w Świdnicy.

W pracy Andrzeja czuć było wielkie zaangażowanie. Niestety jego poświęcenie dla innych, bo tak to trzeba nazwać, przekładało się na poświęcanie rodziny. Bo gdy na początku było fajnie, dzieci były małe, chętnie jeździły na organizowane przez Tatę imprezy, to jednak w miarę dorastania zmieniało się to. Tak jak w każdej rodzinie. Dzieci zaczynały żyć swoim życiem i często stawały przed wyborem co jest ważniejsze. Niestety pasja, choćby największa i najpiękniejsza, jeśli nie możemy nad nią zapanować, potrafi zniszczyć nasze życie rodzinne. Ale gdy ktoś wsiąknie w to co robi często nie potrafi tego kontrolować. Dobrze jest gdy ci dla których taki pasjonata robi to wszystko, doceniają to. Nie zawsze jednak tak jest. A szkoda.

Andrzej, można powiedzieć, poświęcił całe swoje życie, w zasadzie jednej idei. Odkrywaniu, upublicznianiu i ratowaniu obiektów dawnego prawa. Zawsze jego nazwisko będzie się nam kojarzyć z tymi właśnie obiektami. A ponieważ miał On rodzinę chciałbym, szczególnie jego dzieciom, powiedzieć: Aniu, Sebastianie: Nie martwcie się, że Wasz Tata już odszedł. Wiem że jest to przykre. Ale wiedźcie iż my wszyscy, my dla których Andrzej oddał wiele lat swojego życia będziemy do końca naszych dni pamiętali o tym co zrobił On dla nas. I będziemy wspominali Jego. A wiadomo, że osoba zmarła żyje tak długo jak długo się o niej pamięta.

## Poiana Mikului na rumuńskiej Bukowinie

W sierpniu 1976 roku dwanaścioro młodych ludzi postanowiło wyruszyć w góry Rumunii. Po wielu próbach nowo skompletowanego sprzętu spotkaliśmy się we Wrocławiu skąd ruszyliśmy pociągiem. Po dotarciu do Budapesztu dalsza droga była czystą prowizorką. Z jednym jedynym wyjątkiem. Przed wyjazdem daliśmy sobie słowo, że dotrzemy na rumuńska Bukowinę, do miejscowości Poiana Mikului. Ktoś z naszych znajomych opowiedział nam o tej właśnie miejscowości. O jej mieszkańcach, o tym jak żyją. Poruszeni tamtymi słowami postanowiliśmy nie tylko do-

trzeć tam ale także jakoś może nie pomóc, bo to by było za duże słowo, ale wspomóc ich w podtrzymywaniu polskości. Miejscowość ta była zamieszkała tylko w połowie przez rodziny polskie.



Co prawda rodzin tych było dobrze ponad sto ale cóż to jest, zwłaszcza w tamtych czasach. Czasach kiedy to wszystko było nadzorowane i kontrolowane. Nie wolno na przykład było gościć obcokrajowców. Mieli oni nocować w hotelach. A jednak, gdy tam przybyliśmy powitani zostaliśmy jak swoi. Nie dość, że rozlokowano nas po chałupach, przede wszystkim u ówczesnego softysa, to jeszcze we wsi urządzono prawdziwe święto. Wieczorem zaproszono nas do sklepu, który na tą okoliczność zamknięto i zamieniono go na miejsce naszego zapoznania z mieszkańcami. Pytali się oni nas o wszystko. O to jak dzisiaj, czyli wtedy, żyje się w Polsce, jak nam się powodzi. Byli ciekawi czy możemy robić co chcemy czy też jesteśmy pilnowani tak jak oni. Ludzie ci okazali się tak serdeczni, tak otwarci, że szybko nawiązaliśmy kontakty. Najgorsze, jeśli można tak powiedzieć, było dla nas to, że każdy z przybyłych chciał z każdym z nas wypić symboliczny kieliszek wódki. A polewali to co mieli najlepszego czyli cukkę. Był to napitek dość mocny, tak że obawialiśmy się czy to przetrwamy. Wszak odmowa nie wchodziła w grę. Na szczęście kieliszki okazały się być dostosowane do okazji czyli faktycznie były symboliczne. Jednak w sklepie było kilkadziesiąt osób. Przeżyliśmy to jednak i o dziwo na drugi dzień nawet nic nie czuliśmy. Wieczorem po powrocie na miejsce noclegu prowadziliśmy dalsze pogaduszki ale już tylko z rodziną naszego gospodarza. Ponieważ była nas spora grupka niektórzy poszli spać na siano. Pamiętam jak bardzo zdenerwowali się rano gospodarze gdy to odkryli. Chodziło im o to, że siano to było świeżo skoszone i dopiero co zwiezione, a ponoć zasypiając na takim sianie można już się nie obudzić. Pamiętam też rady jakich nam wtedy udzielano. Chodziło o to by nie oddalać się po nocy od domostwa. Przyczyną tego był fakt podchodzenia pod gospodarstwo niedźwiedzi żyjących w okolicy, które czasami przychodziły bo bardzo smakowały im krowy.

Wracam jednak do sedna. Otóż dotarcie do tej miejscowości ustaliliśmy sobie za punkt honoru z konkretnego powodu. Także z tego samego powodu przez prawie dwa tygodnie targaliśmy pełen plecak polskich książek. Bo o to właśnie chodziło. Wiedzieliśmy że brakuje im kontaktu z językiem ojczystym. Dlatego zabraliśmy z sobą sporą ilość książek, które im zostawiliśmy. Oni byli z tego bardzo zadowoleni a my szczęśliwi, że udało nam się tu dotrzeć, przywieźć niespodziankę. Gdy widzieliśmy ich rozpromienione twarze sami odczuwaliśmy wielkie zadowolenie. Aż dziw bierze, że tak niewiele trzeba by wszyscy byli szczęśliwi. Myślę iż wtedy, chociaż na chwilę, nam się to udało. Nie wiem tylko do dzisiaj kto był bardziej zadowolony . Oni z otrzymanych książek czy my z faktu że je tam dostarczyliśmy.

Teraz, po prawie trzydziestu pięciu latach dowiadujemy się, że właśnie w Poiana Mikului dnia 19 maja 2011 roku kardynał Stanisław Dziwisz dokonał poświęcenia nowo wybudowanej świątyni katolickiej, będącej zarazem pierwszą poza Polską świątynią poświęconą błogosławionemu Janowi Pawłowi II, czyli Karolowi Wojtyłe. Kościół wybudowany ze składek wiernych może pomieścić 200 osób. I to w zupełności wystarczy. Jednak sam fakt otrzymania zezwolenia na wybudowanie takiego obiektu jest już sam w sobie niesamowity. Katolicy bowiem są tam bardzo nikli procentowo, a więc niezbyt popularni. My uczestnicy tamtej wyprawy bardzo się cieszymy, że życie mieszkańców w tej górskiej miejscowości wzbogaciło się o miejsce, w którym mogą się oni pomodlić. Wiadomo przecież nie od dziś, że najważniejsze na obczyźnie jest wspólne przeżywanie trosk i zmartwień. A wspólna modlitwa jak najbardziej się w to wpisuje. Cieszymy się zatem, że im się poprawiło i że też kiedyś przywieźliśmy do nich kawałeczek Polski.

## Spacer krajoznawczy do Purpurowych Jeziorek

Dnia 14 maja 2011 roku chętni do aktywnego spędzenia soboty wyruszyli z Marciszowa do Purpurowych Jeziorek. Prowadził, jak zwykle, autor tych słów. Pogoda była wspaniała. Słonko grzało, nie padał deszcz, nie było nawet wiatru. Zaraz po opuszczeniu zabudowań trafiliśmy na siedzące w gnieździe bociany. Według miejscowych wkrótce przybędą trzy maluszki. Wzdłuż Mienicy dotarliśmy do miejsca zwanego Pod Zegarem. Trochę to dziwna nazwa ale gdy po chwili zobaczyliśmy na jednym z domów zegar wszystko było jasne. Dawniej miejsce to nazywało się Płoszów. To właśnie tutaj niejaki Preller, po otrzymaniu w 1790 roku koncesji, wybudował witlejnię czyli wytwórnię kwasu siarkowego. Wcześniej korzystał z zakładów znajdujących się w Ciechanowicach i Miedziance. Budowa tych zakładów była wynikiem podjęcia eksploatacji odkrytych nieco wyżej złóż pirytów. Niestety po jakimś czasie działania te stały się nieopłacalne i w 1902 roku przestawiono się na produkcje farb olejnych. Ale nie trwało to zbyt długo. W 1925 roku zakład zamknięto.

Tuż przed celem naszej wycieczki spotykamy ustawioną wielką tablicę informacyjną, z której dowiadujemy się o szlakach rowerowych w tym rejonie. Są tam przedstawione odległości ale także wykresy wysokościowe proponowanych tras.

Można dzięki temu jeszcze przed wyprawą sprawdzić czy damy radę wjechać pod górę. Jest to wspaniały pomysł i myślę, że temu kto pomyślał o wykonaniu takiej informacji należą się słowa uznania.



Po chwili docieramy do jeziorok. Widzimy ustawione tablice informacyjne. Wykonano tu ścieżkę dydaktyczną "Zielonym szlakiem przez Kolorowe Jeziorka". Ma ona ułatwić poznawanie terenu przez turystów nie korzystających z map. Tak, tak. Obecnie coraz więcej przybywających tu osób nie jest turystami w pełnym tego słowa znaczeniu. Są to po prostu ludzie chcący odpocząć od gwaru miejskiego a przy okazji coś zobaczyć. Przybywają oni tu z całymi rodzinami i polegają właśnie na informacjach opisowych umieszczonych na tablicach. My jesteśmy dosyć wcześnie więc mamy jeszcze ciszę. Ale za kilka godzin, gdy przyjadą pierwsze autobusy, nie będzie tu już tak przyjemnie. Niestety wygląda na to iż miejsce to, jedna z ostatnich oaz spokoju, zostało utracone dla turysty ceniącego sobie obcowanie z naturą w samotności i ciszy. Cały prawie 20 - hektarowy teren został wydzierżawiony. W krótkim okresie uruchomiono tu różno. Jest więc możliwość konsumpcji. Jednak gdy zechcemy upiec kiełbaski to nikt nam tego nie zabrania. Mało tego, proponują nawet skorzystanie z przygotowanych przez nich ułatwień. Można nawet podjechać samochodem i zostawić go na jednym z parkingów. Niżej uruchomiono parking dla autobusów. Może w przyszłości, gdy dochody dzierżawcy wzrosną doczekamy się większych nakładów na samych jeziorkach. Na razie nie jest źle. Pobudowano wiele drewnianych toalet. I o dziwo są one jeszcze bezpłatne!

Wróćmy jednak do głównego celu dzisiejszego spaceru. Historia eksploatacji złóż pirytów sięga XVIII wieku. Uruchomiono tutaj początkowo kopalnie odkrywkowe, później głębinowe. Jako pierwsza powstała w roku 1786 kopalnia Nadzieja. Kolejną nazwano Nowe Szczęście (1793), a ostatnią Gustaw (1796). Po zaprzestaniu eksploatacji wyrobiska zalała woda, a od związków jakie tutaj występują nabrała odpowiedniego zabarwienia. Pierwszym i największym jest Purpurowe

Jeziorko zwane także Czerwonym. Powstało ono na terenie kopalni Nadzieja, a kolor wodzie nadają związki żelaza. Zachowała się tutaj ponad 130 - metrowej długości sztolnia. Jednak jest ona zalana wodą. Nieco poniżej znajduje się małe jeziorko nazywane Żółtym. Dochodzi się do niego przez tunel wykonany w skale. Kolor wody pochodzi od uwodnionego siarczynu żelaza. Czasami, przy wysokiej temperaturze powietrza można tam wyczuć zapach siarki. Niestety podczas wielkiej powodzi w 1997 roku woda z tych jeziorek znalazła sobie ujście i spłynęła. Dlatego dzisiaj, po ponownym wypełnieniu, nie ma już tak intensywnej barwy jak dawniej. Musi minąć kilka lat zanim rozpuszczą się odpowiedzialne za to związki zawarte w otaczających je skałach.

Nieco wyżej, na terenach kopalni Nowe Szczęście, powstało Szmaragdowe Jeziorko, nazywane także Błękitnym lub Lazurowym. Tym razem kolor wodzie nadają związki miedzi. W latach pięćdziesiątych XX wieku jeziorko osuszono aby przeprowadzić badania. Jednak napełniło się ono ponownie. Mamy tutaj dwie sztolnie. Jedna o długości 45 a druga 10 metrów. Nie są one jednak dostępne turystycznie. Idąc wyżej można dojść do ostatniego jeziorka nazywanego Zielonym Stawem lub Czarnym Jeziorkiem. Jest ono bardzo małe, jednak nie zawsze jest w nim woda. My darowaliśmy sobie to ostatnie jeziorko i skręciliśmy w piękną leśną drogę prowadzącą lekko w dół do miejscowości Raszów. Chodziło o tzw. doznania wyższe. Droga ta bowiem jest wyjątkowa. Idąc nią powoli, nie dość, że nie słyszy się nic poza śpiewem ptaków oraz szumem wiatru, to jeszcze czujemy jej zapach. Ściślej mówiąc czujemy zapach lasu, gór, trawy, słońca. Tak słońca. Niektórym może wydać się to niemożliwe ale tak jest. Najlepszym dowodem jest to, że uczestniczący w spacerze sami zauważyli opisywane przeze mnie doznania i przystanęli aby lepiej je odczuć. Są jeszcze w naszych lasach takie drogi i miejsca, dla których warto wyjść z domu.

Po takich doznaniach nic nie mogło zmącić naszego pozytywnego nastawienia. A tu zaczęły wyłaniać się zabudowania Raszowa. Wkrótce dotarliśmy do kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NMP. W świątyni tej wygłoszono pierwsze na Ziemi Kamiennogórskiej kazanie według nauk Marcina Lutera. Dla nas jednak najważniejszym jest obejrzenie umieszczonych w wybudowanej tutaj w 1575 roku kaplicy kamiennych płyt upamiętniających zmarłych. Jest to miejsce pochówku przedstawicieli rodziny von Schaffgotsch. Zanim tutaj dotarliśmy wiedzieliśmy, że to jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce gdzie można obejrzeć tego typu obiekty. Jest tu wiele płyt nagrobnych ale najokazalsze i bez wątpienia najbardziej ozdobne są tumbry. Może ktoś powiedzieć, że nie ma się czym ekscytować. Może, ale przecież są to obiekty doby renesansu. A jak wiadomo nie ma nic ładniejszego nad renesans. Cały sens dzieł wówczas tworzonych miał na celu ukazanie tylko jednego: piękna wszelakiego, piękna w każdej jego postaci. Widać to także tu, w Raszowie. Przecież gdy przyjrzymy się tym płytom nagrobnym dokładnie możemy nie tylko dowiedzieć się czegoś o zmarłych, którym są one poświęcone ale także o stylu życia jaki wówczas prowadzono. Możemy zobaczyć jaka wówczas panowała moda czy wreszcie zgłębić tajniki Starego Testamentu. Mało tego, ktoś bardzo dociekliwy zauważy różnice w nazwisku tego rycerskiego rodu. Otóż pierwszy nagro-

bek na tumbie upamiętnia Hansa I Schof Gotscha, natomiast drugi Hansa II Schaffgotscha. Nie będę się tutaj rozpisywał o pozostałych obiektach, niech każdy zainteresowany sam odwiedzi to miejsce. A każdy kto wrzuci do skarbonki datek otrzyma akt nadania tytułu „Przyjaciela mauzoleum Schaffgotschów”. Nie łudźmy się jednak, musi to być datek nie jałmużna. Wszak zebrane w ten sposób pieniądze idą na remont tych wspaniałości. A tak jak zmarli przedstawieni we śnie, co symbolizuje nadzieję na wieczne życie, tak żyjący mając tą samą nadzieję powinni robić wszystko by ratować to miejsce dla przyszłych pokoleń. Niechże i one zobaczą to piękno. Niech pojmą, że piękno ma wpływ na nasze odczucia i na nasze poczynania.

Teraz już nic nie mogło nas zaskoczyć, udaliśmy się zatem leśnymi drogami w stronę Marciszowa, by zdążyć na pociąg do Jeleniej Góry.

## Wycieczka na Bobrowe Skały

Co prawda już wieczorem dnia poprzedniego zapowiadali opady deszczu, ale rano nie padało. Trawa była mokra. Jednak ogólnie pogoda nie odstraszała. Wyruszyliśmy zatem w niedzielę 15 maja 2011 roku pociągiem do Rybnicy, na trasę 12. wycieczki Rajdu na Raty, organizowanego już od czterdziestu lat przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Jak się okazało było nas dwadzieścia osób i pies, a właściwie suka Luna. Młoda bo mająca dopiero cztery miesiące ale już po raz drugi na trasie.

Rybnica to stara wieś o charakterze rolniczym, mająca jednak w swojej historii okres, kiedy była znaczącym ośrodkiem tkactwa. Działo tu ponad czterdziści warsztatów. A zaczęło się od opanowania sztuki tkania cienkich woali przez Salomona Wolfa. Ze smutniejszych faktów jest ten iż pod koniec II wojny światowej wiodła tędy trasa "Marszu śmierci". Pędzono wtedy więźniów z obozu pracy z zakładów znanych nam jako "Celwiskoza". W okolicach Rybnicy zginęło ponad pięćdziesiąt osób. Ich zwłoki zostały później ekshumowane i pochowane na cmentarzu w Jeleniej Górze.

Pierwszym naszym celem był oczywiście kościół św. Katarzyny. Nie udało nam się wejść do środka, gdyż ksiądz zaczął już wprowadzenie dzieci przystępujących do pierwszej komunii. Jednak w ścianie na wprost ołtarza znajduje się okno przez które widać całe wnętrze. Ciekawa jest tutaj kwadratowa czterokondygnacyjna wieża z drewnianą nadbudówką, z galerią i ośmiobocznym hełmem z prześwitem. Niestety nie można tam wchodzić, by podziwiać widoki. Kilka lat temu cieśle wzmacniali konstrukcję tej więźby, by odsunąć moment jej zawalenia. Jednak w przyszłości trzeba będzie przeprowadzić większe prace remontowe.

Na sąsiednim wzgórzu, przed cmentarzem, zamontowano na pomniku poległych w I wojnie światowej, ciekawą tablicę. Oto tekst umieszczony na niej: " Pamięci zmarłym ... dawniej niemieckiej Gminy Rybnica, którzy odpoczywają na cmentarzu obydwóch wyznań chrześcijańskich...". W ostatnich latach spotykamy coraz więcej takich tablic. Nareszcie dociera do wszystkich, że nie można odcinać się od przeszłości. Że nawet jeśli ziemie te zamieszkiwane były przez ludzi innej



narodowości czy innego wyznania, to ci ludzie mieszkali tutaj, żyli i pracowali na tej ziemi i dla tej ziemi. I zasługują oni, tak jak i obecni mieszkańcy tych terenów, na pamięć i szacunek należny zmarłym. I nie może to wynikać oczywiście tylko z faktu, że ludzie ci już odeszli. Po prostu taka jest kolej rzeczy, a każdy, szanujący się naród, będzie szanował poprzednie pokolenia, bez których nie byłoby tego co mamy dzisiaj.

Po chwili docieramy do pięknie utrzymanego stadionu, na którym gra miejscowy zespół piłkarski "Juvenia". W roku 2010 zajął II miejsce w klasie B. Jest więc on dumą Rybnicy. Tuż za torami kolejowymi, pod którymi przeszliśmy tunelem, widzimy po lewej stronie zabudowania gospodarcze dawnego majątku ziemskiego. Natomiast po prawej ładny XIX - wieczny budynek zarządcy majątku. Ponieważ obecnie to własność prywatna, na zamek musimy podejść od strony stawów, co nie jest ani łatwe, ani bezpieczne. Od razu widać, że od tej strony niemożliwe było zdobycie zamku. Zwłaszcza, że wzgórze opływa rzeka Młynówka, która na pewno była kiedyś wykorzystywana jako element obronny. Dzisiaj wzgórze zamkowe porasta las. Częściowo jest to pozostałość utworzonego tutaj hektarowego założenia parkowego, częściowo wynik zarastania opuszczonego miejsca. Jednak gdy wznoszono zamek nie było tutaj lasu. Wynika to choćby z faktu tłumaczenia dawnej niemieckiej nazwy, która po łżycku brzmiała "Łysa góra". Ponieważ ruiny zamku nie są widoczne z drogi, dobrze się stało, że postawiono tutaj tablicę informacyjną. Każdy przechodzący tędy turysta zaraz zaczyna szukać warowni i z reguły ją znajduje.

Idąc dalej zaczęliśmy spokojnie piąć się pod górę, co wkrótce doprowadziło do szybszego oddechu ale zrobiło nam się nieco cieplej. Ze względu na widoki, jak i lekkie ssanie w dołku stanęliśmy na śniadanie przy ambonie myśliwskiej. Wszyscy obsiedliśmy suche skały i pnie w lesie. Wyglądało to bardzo ciekawie. Niebawem napotkaliśmy wiele powalonych i połamanych drzew, głównie brzoź. Jest to pozostałość po niespodziewanych opadach śniegu, jakie miały miejsce trzeciego maja. Padający wówczas mokry śnieg był tak ciężki, że dokonał dużych zniszczeń w drzewostanie.

Wkrótce zza drzew wyłoniła się ciekawa budowla z wieżą o dziwnym kształcie hełmu. Po bliższym podejściu widać już było doskonale baniaste kształty tego zwieńczenia wieży kościelnej. Bo budowla, którą ujrzelśmy to kościół św. Barbary. Chociaż na chorągiewce można odczytać: św. Maria, św. Barbara, św. Nicolai 1772. Samo usytuowanie tej świątyni, wraz z cmentarzem oraz prawie stuletnią plebanią wpływa na nasz nastrój. Wyczuwa się tutaj naturalny spokój. Jednak warto, nawet jeśli kościół jest zamknięty, poprosić księdza o otwarcie. W ołtarzu umieszczono obraz przedstawiający męczeństwo świętej Barbary. Gdy dobrze rozejrzemy się odkryjemy, ustawioną co prawda na widoku, ale jednak stojącą jakby nie tym bokiem do ludzi co powinna, kamienną chrzcielnicę. Rzeźby podtrzymujące misę na wodę są niesamowite. Jednak najpiękniejszy w całym kościele jest wspomniany ołtarz. To prawdziwe dzieło sztuki. Szkoda tylko, że czynione od lat starania o pozyskanie funduszy na jego remont nie mogą przynieść rezultatów. Od księdza proboszcza dowiedzieliśmy się, że w zeszłym roku jeden z mieszkańców, tzw. złota

rączka, poświęcając ponad trzydzieści godzin pracy naprawił, umieszczony na wieży jeden z pierwszych zegarów bijących. Jest tu co prawda tylko jedna wskazówka ale o każdej godzinie następują dwa uderzenia. Nakręcany jest on tylko w soboty, tak by wierni mogli go słyszeć przez całą niedzielę. Jedno nakręcenie wystarcza na 26 godzin pracy zegara.



Same Wojcieszycy, przez krótki czas po ostatniej wojnie, nosiły nazwę Ptaszyn. Jednak nie trwało to zbyt długo. Ponoć kiedyś był tu browar produkujący wyśmienite piwo. Skutkowało to przybywaniem wielu kuracjuszy z pobliskich Cieplic. Niestety nie możemy tego samego powiedzieć o dniu dzisiejszym. Z ciekawszych wydarzeń współczesnych jest fakt zakopania kapsuły czasu przy okazji obchodów w marcu 2011 roku 65 - lecia szkoły.

Pogoda dalej utrzymywała się bezdeszczowa, ruszyliśmy zatem pod kolejną górkę i polnymi ścieżkami dotarliśmy do Zimnej Przełęczy. Dlaczego taka nazwa nietrudno się domyśleć. Po drodze upajaliśmy się wspaniałymi widokami na całe Karkonosze. Widać było zamek Chojnik, jednak od tej najbardziej stromej strony. Pozostało nam już tylko ostatnie podejście do Bobrowych Skał. Muszę stwierdzić, że tym razem nieźle się zasapaliśmy, a i pot nie był nam obcy. Jednak jak na rasowych turystów przystało osiągnęliśmy zamierzony cel. Nawet wdrapaliśmy się, po zamontowanych tu kiedyś schodkach, na skałę z której, mieliśmy dobre widoki. Bobrowe Skały, mimo iż odkryte dla turystyki zostały znacznie później niż pozostałe atrakcje gór otaczających kurort cieplicki, szybko stały się ulubionym miejscem wypadowym dla kuracjuszy z uzdrowiska. Jednak, powiedzmy to sobie szczerze, nie była to turystyka taka jaką uprawiamy dzisiaj. W Piastowie mieszkali lektykarze, którzy za 1 talara wnosili "turystę" pod same skały. Mało tego w tamtych czasach można było zjeść i przenocować w istniejącej gospodzie. Były tam cztery pokoje gościnne z siedmioma łóżkami. Ful wypas. A dzisiaj co? Ano nic. Jak sami nie wejdziemy i jak sami sobie nie przyniesiemy jedzonka to kicha. Jedyne co, to jest tutaj przygotowa-

ne miejsce pod ognisko i kilka ławeczek. Początkowo także mieliśmy zamiar upiec kiełbaski dźwigane z takim trudem, ale niestety, czas jest nieubłagany i ze względu na małą jego ilość dzielącą nas od autobusu, zrezygnowaliśmy z tego i ruszyliśmy do Górzynca. Co ciekawe, to mimo dużego już zmęczenia większość uczestników wycieczki, mając w perspektywie dodatkowych kilka kilometrów, które trzeba by było zrobić do Piechowic, poczuła taki przypływ sił, że nawet prowadzący trasę autor tych słów miał problemy aby za nimi nadążyć.

## Seminarium krajoznawcze "Mijające krajobrazy Ziemi Lwóweckiej"

Dnia 21 maja 2011 roku oddział PTTK "Ziemi Lwóweckiej" i Komisja Krajoznawcza ZG PTTK zorganizowały kolejne seminarium krajoznawcze z cyklu "Mijające krajobrazy Polski". Jest to trzecia w skali kraju tego typu impreza po VI Kongresie Krajoznawstwa Polskiego jaki odbył się w Olsztynie w zeszłym roku. Ponieważ Kongresy odbywają się raz na dziesięć lat Komisja Krajoznawcza postanowiła wypełnić ten okres spotkaniami podczas których prezentowane będą zmiany zachodzące w krajobrazie. Jest rzeczą niezwykle ważną by zmiany te dostrzegać i ewentualnie podejmować kroki w celu eliminowania zmian negatywnych.



A ponieważ Polska to duży kraj, każde seminarium dotyczy małej części naszej Ojczyzny. Za każdym razem nasze spostrzeżenia kierowane są do społeczności lokalnej. Mamy bowiem nadzieję, że zaowocuje to w przyszłości dbaniem o wizerunek naszego najbliższego otoczenia i wyzwoli chęć uczestniczenia w pozytywnym kształtowaniu tego otoczenia. Pierwsze seminarium odbyło się w Krakowie, drugie w Żarach a to nasze zorganizowane we Wleniu jest trzecim. Świadczy to o wielkim zapale miejscowych działaczy do ukazywania swojego regionu. Komisja Krajoznawcza cieszy się, iż rzucona myśl zorganizowania tej imprezy trafiła na podatny grunt i że kolega Paweł Idzik z Wlenia przy pomocy Krzysztofa Tęczy z KK wytrwał i doprowadził ją do końca. Okazało się, że są tu pasjonaci nie tylko posiadający stosowną wiedzę ale także potrafiący się tą wiedzą dzielić z innymi. To co zaprezentowali bardzo wzbogaciło nasze wia-

domości o tym ciekawym, chociaż położonym trochę na uboczu szlaków masowej turystyki miejscu. Zanim jednak podam trochę faktów chciałbym powiedzieć, że niektóre z osób pomagających, można tak powiedzieć, narażały swoje życie i zdro-

wie aby wszystko przebiegało sprawnie. Choćby podczas przewożenia gablot potrzebnych do wystawienia znalezisk archeologicznych. Te sporej wielkości meble trzeba było ściągnąć aż z trzeciego piętra wieży Lubańskiej w Lwówku Śląskim. A trzeba wiedzieć, że schody są tam bardzo strome i bardzo wąskie. Udało się jednak wszystko doskonale. Nikomu nic się nie stało.

W pierwszej części seminarium wystąpiła Maria Salawa z referatem pod tytułem "Moje Koło "Świeradowskie Orły". W skrótej formie zaprezentowała działalność uczniów w ramach tej szkolnej organizacji. Kolejny referat Kamila Zarębińskiego "Krzyże pojednania" także przedstawiła Maria Salawa, ponieważ Kamil nie dotarł. Zarówno Maria Salawa jak i Kamil Zarębiński są uczniami Miejskiego Zespołu Szkół w Świeradowie Zdroju oraz uczestnikami Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego "Poznajemy Ojcowiznę". Zaproszenie ich na seminarium traktujemy jako zachętę by dalej rozwijali swoje zainteresowania i doskonalili swój warsztat krajoznawczy.



W głównej części spotkania zaprezentowano siedem tematów. Pierwszy pod tytułem "Od rezydencji do ruiny - pałac w Skale" przedstawił Maciej Szczerepa. Skala, własność książęca, z czasem wiele razy przechodziła w ręce nowych właścicieli. Początkowo rozwijała się dzięki eksploatacji złóż złota odkrytych w okolicy Lwówka Śląskiego. Do tej pory sądzono, że pałac został wzniesiony na ruinach zamku. Jednak obecnie badacze skłaniają się do wersji iż nie był to zamek ale drewniany dwór. Na ukazanym zdjęciu z przed stu lat faktycznie pałac wygląda imponująco. Wokół utworzono rozległy park, w którym wzniesiono herbaciarnię, domek z mchu, świątynię Luizy i wiele innych ciekawych obiektów. W rezydencji tej, o prawie tysiącu metrach powierzchni, kwitło życie towarzyskie. Był tutaj nawet Ryszard Wagner. Niestety z końcem II wojny światowej nastął początek końca pałacu. Początkowo wkroczyły to oddziały radzieckie. Żołnierze ci niewiele przejmowali się tym co tu zastali. Niszczyli i palili co tylko się dało. Jednak nie wszystko zniszczyli gdyż uloko-

wano tu dyrekcję PGRu, później Lasów Państwowych. Dopiero po opuszczeniu pałacu przez te instytucje obiekt początkowo został rozszabrowany i pozostawiony samemu sobie. Wówczas do akcji wkroczyły siły przyrody. Wszystko zaczęło zarastać krzakami i drzewami. Kilka lat temu wydawało się iż dla miejsca tego zaświeciło światełko nadziei. Pałac kupił prywatny inwestor. Niestety okazał on się człowiekiem nastawionym tylko na zysk, więc nie podjął żadnych prac naprawczych, a obecnie wystawił budowlę ponownie na sprzedaż.

Wojciech Szczerepa zatytułował swoje wystąpienie "Kolej w Dolinie Bobru". Rozpoczął je od informacji iż w dniu 22 maja 1842 roku miał miejsce wjazd pierwszego pociągu do Wrocławia. I słusznie. Od tamtej daty wszystkie siły poświęcane budowie kolei miały doprowadzić do powstania połączenia kolejowego Jelenia Góra - Lwówek Śląski. Tak też się stało. Ale nie od razu. Najpierw uruchomiono połączenia niemal z wszystkich stron oprócz właśnie wspomnianego wyżej. Działo się tak z powodu trudnych warunków terenowych na tym odcinku. Dlatego też budowę tej linii kolejowej podzielono na trzy etapy. Jednak prace budowlane rozpoczęto jednocześnie na wszystkich trzech. Pierwszy etap miał połączyć Jelenią Górę z Siedlęcinem i ze względu na dogodne warunki terenowe został zakończony najszybciej. Dalej już nie było tak łatwo. Aby pociąg dojechał do Wlenia trzeba było wykonać przeprawę nad wodą i trzy tunele. Ponieważ w tym samym czasie zapadła decyzja o budowie zapory w Pilchowicach postanowiono wykorzystać nowe połączenie kolejowe przy dostawach budulca potrzebnego w olbrzymich ilościach. Na pewno przyczyniło się to do przyspieszenia prac budowlanych na tamie a i pewnie było tańsze od tradycyjnego sposobu transportu. Gdy pierwszy pociąg z Jeleniej Góry wjechał do Wlenia witano go strzałami z armat. Burmistrz wygłosił przemówienie i odbył się bankiet. Było to prawdziwe święto. Mieszkańcy cieszyli się z tego doniosłego wydarzenia. Aby zobrazować trud jaki trzeba było włożyć w budowę odcinka Jelenia Góra – Wleń wystarczy podać, że koszt tej inwestycji to 250 tysięcy marek. Natomiast koszt odcinka Lwówek Śląski – Wleń to tylko 125 tysięcy marek. Gdy ukończono główne połączenie zaczęto budować odgałęzienia do znajdujących się wzdłuż linii kolejowej zakładów np. tartaków. Przed I wojną światową podjęto prace elektryfikacyjne. Jednak działania wojenne nie sprzyjały kontynuowaniu prac a późniejszy kryzys gospodarczy spowodował zarzucenie tego pomysłu.

W kolejnym referacie „Park Krajobrazowy Doliny Bobru” Małgorzata Pierożyńska, po zaprezentowaniu ustawowych założeń jakie przyświecały jego utworzeniu, omówiła poszczególne walory krajoznawcze znajdujące się na tym obszarze. I dzięki takiemu ukierunkowaniu swojej wypowiedzi wzbudziła zainteresowanie słuchaczy, gdyż mimo iż wszyscy w zasadzie znamy te obiekty to jednak okazało się iż nie do końca. Park utworzony w 1989 roku zajmuje ponad 12 tysięcy ha a wraz z otuliną ponad 23 tysiące. Jest to bardzo duży obszar. Niestety ze względu na wdrażanie tu programu Natura 2000, większość przedsiębiorców uznała ten teren za stracony dla inwestycji. Ale czy tak jest na pewno? Chyba nie. Jest wiele możliwości działań inwestycyjnych, oczywiście po spełnieniu narzuconych uwarunkowań. Bo ochrona przyrody nie może być bezwzględna. Musi iść niejako równoległe z nor-



malnym życiem mieszkańców tych terenów. Jednak z drugiej strony ochrona przyrodnicza i krajobrazowa tak dużego terenu powoduje zwiększone zainteresowanie nim przez turystów oraz osoby szukające miejsca do ciekawego spędzenia soboty i niedzieli. Coraz więcej bowiem ludzi po tygodniu pracy wyjeżdża z rodzinami by zobaczyć coś nowego. Dlatego Dolina Bobru to miejsce wymarzone dla takich ludzi. Mamy tutaj piękne przełomy: Wrzeszczyński i Borowego Jaru. Ten drugi odwiedzają tysiące ludzi, niestety pierwszy jeszcze nie posiada stosownej infrastruktury. Ale zmienia się to. Mamy tutaj piaskowcowe formy skalne nazywane Szwajcarią Lwówecką. Są tutaj zapory, zbiorniki przeciwpowodziowe i energetyczne. Jest wiele jazów, starych mostków. Z punktów widokowych rozpościerają się wspaniałe widoki. Najrozleglejszy ujrzymy z wieży zamkowej znajdującej się w rezerwacie Góra Zamkowa. Nie mniej ciekawy widok rozpościera się z miejsca zwanego Kapitańskim Mostkiem. Niestety ze względu na bardzo silną presję zmierzającą do podejmowania prac wycinkowych zarząd Parku musi bronić rosnących tu drzew. Przecież las to dom dla zwierząt. To miejsce gdzie one przychodzą na świat i żyją, ciesząc nas swoim widokiem. Nie można zatem dopuszczać do bezmyślnego niszczenia tego domu. Zwłaszcza gdy nie ma takiej potrzeby. Na terenie Parku znajduje się wiele zabytkowych budowli. Niestety przeważnie są one w stanie agonalnym. Zaś nakłady finansowe potrzebne do ich ratowania są tak ogromne, że wydaje się być niemożliwym ich pozyskanie. Dobrze zatem, że od czasu do czasu pojawiają się prywatni inwestorzy zainteresowani ratowaniem pojedynczych obiektów. Jest więc szansa, że wszystkie te działania razem pozwolą na przetrwanie tych wartości dla następnych pokoleń by i one mogły cieszyć się ich widokiem.

Krzysztof Marecki zaprezentował „Zmiany w krajobrazie naturalnym Ziemi Lwóweckiej”. Ponieważ ukazał nam zmiany zachodzące na wybranych obiektach w okolicy, wszyscy znając te obiekty, widzieli od razu różnice. Ale najpierw, i słusznie, powiedział, że krajobraz dzielimy na naturalny i pierwotny. Pierwotny to taki, którego poszczególne elementy nie zostały naruszone w żaden sposób przez człowieka. Krajobraz naturalny to taki, w którym istnieją oznaki działalności człowieka ale nie naruszają one jego głównych elementów. Jak widać podstawową różnicą jest tutaj człowiek a raczej jego działania, będące często działaniami szkodliwymi. Oczywiście nie zawsze. Czasami trudno jednoznacznie stwierdzić jakie działania człowieka są szkodliwe a jakie nie. Jeszcze trudniej stwierdzić czy te działania są szkodliwe w momencie ich przeprowadzenia np. ze względu na rozwój cywilizacyjny. Bo czy budowa nowej linii kolejowej jest szkodliwa. Czy nie jest tak, że z jednej strony narusza ona równowagę w przyrodzie, a z drugiej strony ułatwia nam wszystkim życie. Jednak po pewnym czasie ingerencja ta wtapia się w krajobraz i następne pokolenia spojrzą na nią już inaczej. Faktem jest, że krajobraz najpilniej kształtuje przyroda. Czyni to bez przerwy, przez całą dobę. I czyni to niezależnie od nas. Widać to na przykładzie opuszczonych budynków stacji kolejowej Skorzenice. Widać to na przykładzie zarastających ruin zamków i pałacy, starych budynków i budowli. Przyroda zawsze poradzi sobie z każdą ingerencją człowieka, byle by miała odpowiednią ilość czasu. Czyli wynika z tego, że pierwszym czynnikiem kształtują-

cym krajobraz jest przyroda. Drugim woda, która płynąc rzeźbi brzegi koryta powolutku ale nieustannie. Czasami podczas powodzi czyni to gwałtownie i skutki takiego szybkiego jej przejścia są często tragiczne. Wtedy to zachodzą największe zmiany w ukształtowaniu terenu. Trzecim czynnikiem kształtującym krajobraz są ruchy masowe, np. osunięcia ziemi. Ostatnio kilka razy miały miejsce takie zdarzenia w naszym kraju. Przesiąknięta skarpa gdy już nie jest w stanie przyjąć więcej wody rusza przed siebie. Bieda wtedy wszystkiemu i wszystkim, którzy staną na drodze takiemu żywiołowi. Jest on, jak na razie, niemożliwy do opanowania. Kolejnym czynnikiem, powodującym największe zmiany w krajobrazie, jest bez wątpienia czynnik ludzki. Aby jednak nie być pesymistą Krzysztof Marecki podał przykłady zmian wynikłych wskutek ingerencji człowieka, które natura sama po pewnym czasie zniwelowała. Na jednym z przedstawionych zdjęć widać gołe wzgórza nad miastem, zupełnie pozbawione drzew. Na kolejnym zdjęciu wykonanym kilkadziesiąt lat później, wszędzie widać lasy. Natura poradziła sobie sama. Bo jak się okazuje podstawowym problemem nie jest to co człowiek uczynił ale to, że w ogóle podjął niepożądane działania. Gdy zaprzestanie takich działań, natura sama przywróci krajobraz do pewnego standardu. Widać to doskonale na przykładzie opuszczonych pól. Po zaprzestaniu ich uprawiania powoli zaczynają one zarastać, najpierw chwastami i trawą, później krzakami i wreszcie drzewami. Największe zmiany są spowodowane wydobywaniem surowców skalnych i mineralnych. Działania podejmowane w takich wypadkach są niezwykle agresywne. Powodują one okaleczanie ziemi nie raz na wielkich obszarach. Zmiany te nie są pozytywne ale są zmianami koniecznymi. Wynikają bowiem z zaspokajania potrzeb życia obecnego społeczeństwa. Surowce wydobywane tutaj są potrzebne praktycznie do wszystkiego. Właściwie to nie wiadomo co jest groźniejsze dla krajobrazu. Czy ta okaleczona ziemia, czy usypywane obok hałdy zbędnego nadkładu. Często po zakończeniu prac wydobywczych teren pozostawiany jest sam sobie. Wtedy, tak jak już było wspomniane wcześniej, wkraczają do akcji siły natury. Powolutku roślinność zarasta teren. Potrzeba na to jednak wielu, wielu lat. Możemy to zauważyć na zdjęciach wykonanych pomiędzy Bielanką a Lwówkiem Śląskim, gdzie wydobywano kiedyś złoto. Spotykamy także zmiany powodowane nielegalnymi poszukiwaniami np. na polach agatowych. Nikt tam nie martwi się by przywrócić teren do stanu pierwotnego. Są też zmiany codzienne np. w żwirowni w Rakowicach. Następują one niemal każdego dnia. Jednego dnia widzimy zieleń, drugiego wykopaną jamę, trzeciego wszystko zalane wodą. Jest to wynik zarówno pracy człowieka jak i działań przyrody. Zmiany w krajobrazie powodowane są także przez różnego rodzaju kataklizmy: pożary, silne wiatry. Ale także podczas budowy wałów powodziowych, linii energetycznych, szlaków komunikacyjnych i niestety poprzez wywożenie przez ludzi wszelkiego rodzaju śmieci do lasu. Bo na pewno stara wersalka czy lodówka w środku lasu nie jest czymś pozytywnym. Niestety w tym wypadku natura na zniwelowanie skutków takiego niefrasobliwego postępowania nieodpowiedzialnych jednostek potrzebuje wielu set jeśli nie kilku tysięcy lat. I tutaj musi ingerować ponownie człowiek. Tylko, że tym razem, musi to być działanie przemyślane, dobrze zorganizowane i wykona-

ne poprawnie, tak by nie poczynić jeszcze większych szkód w krajobrazie. Niestety w przeciwieństwie do pierwszego działania (wyrzucanie śmieci do lasu) to drugie jest niezwykle kosztowne. Szkoda tylko, że koszty te ponosimy my wszyscy a nie ci, którzy powinni je ponieść.

Grzegorz Jaworski biorący udział w badaniach na zamku Lenno przedstawił nam wyniki tych prac. Tytuł jego wystąpienia „Prace archeologiczne na zamku Lenno” mówi w zasadzie wszystko. Jednak to co nam zaprezentował było niezwykle ciekawe i trzeba przyznać, iż wyniki przeprowadzonych badań bardzo zmieniły to co do tej pory było wiadomo o zamku. Okazuje się iż warownia wleńska to najstarsze potwierdzone tego typu założenie murowane. Jak się jednak dobrze przyjrzeć dziejom zamku nie ma co się temu dziwić. Przecież był on siedzibą książęcą. Przebywała tu święta Jadwiga. Siłą rzeczy musiał spełniać jakieś wymogi komfortu takich osobistości. W miarę zatem czasu ciągle coś tu przebudowywano i rozbudowywano. Zmiany te nie ustały nawet w czasach późniejszych, kiedy to obiekt przechodził w coraz to nowe ręce. W roku 1646 zamek wysadzono w powietrze, a w wieku XIX przekształcono w romantyczną ruinę. Pierwsze badania archeologiczne pod koniec XX wieku nie przyniosły żadnych rewolucyjnych odkryć. Kolejne prowadzone już w XXI wieku zaskoczyły nawet archeologów. Mieli oni jednak już nowe środki do prowadzenia badań. Odkrycia dokonane wtedy pozwoliły właśnie na cofnięcie w czasie całego założenia obronnego. Umiejscowiono w terenie poszczególne obiekty zamkowe i udokumentowano kolejne fazy ich przekształceń. Od formy drewnianej do murowanej. Dzięki zawaleniu się muru zamkowego powstała możliwość zbadania warstw z jakich składa się wzgórze. Były to bardzo niebezpieczne prace a i trzeba je było przeprowadzić w miarę szybko. Pozwoliły one jednak na bardzo gruntowne badania. Pozyskano wtedy ceramikę datowaną nawet na II połowę X wieku! Zbadano odkryty tzw. suchy mur. Znalaziono także bardzo ciekawą w kształcie, bo trójkątną, kłódkę. Najcenniejszym jednak znaleziskiem okazał się być medalion okultystyczny. Ponieważ pan Grzegorz Jaworski przygotował wystawę, mogliśmy zobaczyć na własne oczy to wyjątkowe znalezisko. Medalion z jednej strony ozdobiono klepsydrą i czaszką mającymi symbolizować kruchość życia ludzkiego. Z drugiej strony umieszczono kwadrat magiczny złożony z dziewięciu kwadratów oraz cyfr, których suma w każdą z możliwych stron to piętnaście. Takie kwadraty matematyczne znane są z ich powiązań z symbolami astrologicznymi i magicznymi. Ten znaleziony na zamku Lenno jest jednak wyjątkowy. Odbiega on znacznie od badanych do tej pory. Chodzi o umieszczone na nim symbole. Znalaziono tu także renesansowe kafle piecowe, jednostronny denar i wiele innych cennych detali, może niezbyt ciekawych dla zwykłego zjadacza chleba, ale na pewno bardzo ważnych dla archeologów. Dzięki prowadzonym pracom w czterech wykopach udowodniono wiele ciekawych też pozwalających na konkretne datowania oraz stwierdzenie do czego służyły dane obiekty.

Paweł Idzik, mieszkaniec Wlenia, omówił „Znikające budownictwo szachulcowe”. Przedstawił wszystkim na czym polega takie budownictwo i jak je odróżnić. Ukazał jak była to oszczędna konstrukcja, a zarazem jak wielkie posiadała walory



ozdobne. Najważniejsze jednak to zaprezentowanie przez niego zdjęć konkretnych obiektów z okolic Wlenia. Dzięki temu słuchający łatwiej mogli zrozumieć kryteria jakim podlegają te obiekty w podziale na ich zanikanie. Bo to, że znikają one z naszego krajobrazu jest pewnikiem. Niestety wpływ na to ma przede wszystkim mała trwałość materiałów, z których zostały wykonane. Jedyną mocną stroną tych budowli to właśnie konstrukcja drewniana. Niemniej i ona nie jest wieczna. Natomiast wypełniacze to często glina, słoma, czy w późniejszym okresie cegła (pruski mur). Nic zatem dziwnego iż obiekty te znikają z naszego krajobrazu w wyniku pożarów, dewastacji czy po prostu zaniedbań ze strony samych użytkowników. W chwili obecnej najwięcej takich obiektów znika z krajobrazu poprzez zmiany polegające na ocieplaniu budynków styropianem lub wełną mineralną. Po takim zabiegu mało kto pomyśli, że ma przed sobą zabudowania szachulcowe. Również budowa nowych domów wpływa na zanikanie tych obiektów. Często nowy budynek zasłania stary. Czynione jest to świadomie, właśnie po to by zasłonić „brzydactwo”, lub nieświadomie. Często mają na to wpływ rozmiary posiadanej działki i przepisy budowlane, których trzeba przestrzegać. Niemniej w ostatnich latach zaświecił promyk nadziei dla tych ciekawych budowli. Coraz więcej spotyka się nowych obiektów, budowanych niejako na wzór szachulcowych, które przypominają one tylko zewnątrz. W środku są to już zupełnie nowoczesne domy z nowymi technologiami i wznoszone z nowoczesnych materiałów. Nie jest to może to samo ale ważne, że spełnia swój podstawowy zamysł - wtopienia się w istniejący krajobraz.

Ostatni wystąpił Krzysztof Tęcza z prezentacją „Zmiany w krajobrazie miasta Wleń”. Ukazał on zmiany jakie dokonują się na naszych oczach w otaczającym nas krajobrazie. Są to zarówno zmiany małe i duże, jak i ważne czy nieistotne. Są to również zmiany o charakterze pozytywnym jak i negatywnym. Tych negatywnych, na szczęście jest zdecydowanie mniej, jednak nieraz jedna taka zmiana niweluje kilka zmian pozytywnych. We Wleniu trudno nie zauważyć starych, nieremontowanych budynków. Ale to dotyczy prawie każdego miasta. Niebezpieczną zmianą jest podcięcie skarpy za obiektem zwanym Leśnym Dworem. Może to doprowadzić do tragedii. Niezbyt estetycznymi są także zmiany przy budynku ratusza polegające na umieszczeniu małych elementów, nieraz niezbędnych mieszkańcom, przeważnie jednak szpecącymi lub zaśmiecającymi krajobraz. Bo na głównym placu w mieście na pewno uroku nie dodają tablice, budki telefoniczne, bankomaty czy przewoźne (z nazwy) punkty gastronomiczne. A przecież to wszystko można by tak umieścić by nie rzucało się w oczy. Jedynym ciekawym akcentem jest tutaj pomnik Gołębiarki, znaku rozpoznawczego Wlenia. Są tu jednak miejsca, w których mimo zachodzących zmian widać czynione starania o jego estetykę. Np. okolice rozbudowywanego obiektu OSP. Jednak największe zauważalne zmiany pozytywne we Wleniu mają miejsce w najcenniejszych dla wizerunku miasta obiektach. Są to pałac Lenno, zakupiony i przywracany do świetności przez pana Luka Vanhauwaerta, czy pałac książęcy przeznaczony swojego czasu do wyburzenia. Obecny jego właściciel nie dość, że uratował obiekt od zagłady to prowadzi prace remontowe z niezwykłą starannością, nawet jeśli chodzi o drobne detale. Z pewnością kiedyś będzie to

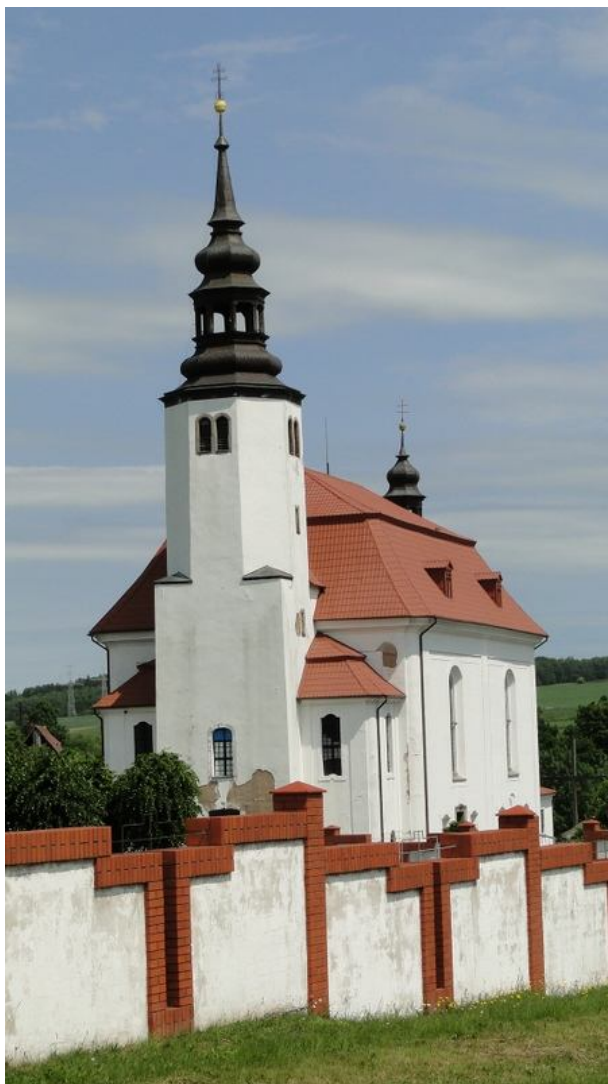
chluba Wlenia. Bardzo znacznie zmienił się też budynek dawnego sanatorium kolejowego. Został on zwrócony prawowitym właścicielkom, które dokonały jego gruntownej modernizacji. Oczywiście istotne zmiany w wyglądzie zaszły na zamku Lenno. Było to spowodowane osunięciem się muru zamkowego. To niezwykle wydarzenie, będące bez wątpienia zmianą negatywną, wywołało cały szereg zmian pozytywnych dla tego miejsca. I o paradoksie, gdyby nie katastrofa budowlana pewnie nikt by nie przejmował się losem zamku. A tak, po nagłośnieniu sprawy, zdobyto stosowne środki i przystąpiono do prac naprawczych połączonych z badaniami archeologicznymi oraz odnową niemalże całego wzgórza zamkowego. W swojej prezentacji Krzysztof Tęcza uwypuklił wszystkim iż zmiany zachodzące wokół nas są nierozłącznie związane z naszym życiem doczesnym. Wynikają one ze stylu prowadzonego obecnie życia, z rozwoju infrastruktury, z rozwoju techniki, czy wreszcie z bardziej konsumpcyjnego sposobu naszego życia (niestety). Zmiany takie dosięgły nawet kwestii upamiętniania naszych bliskich, czy wybitnych postaci, które powinniśmy naśladować. Widać to przy porównywaniu pomników czy płyt nagrobnych. Niemniej zmiany jako takie zawsze będą zachodziły zarówno w naszym życiu jak i w otaczającym nas krajobrazie. My możemy jedynie baczyć by zmiany te były zmianami pozytywnymi i były zmianami akceptowanymi przez wszystkich.

Podsumowując wystąpienia należy stwierdzić, że jedne podejmowały kwestie istotne w życiu danej społeczności, drugie omawiały drobne elementy mające wpływ na to życie. Niemniej ważnym jest sam fakt zauważania przedstawianych zmian. Bo to między innymi od tego czy je dostrzeżemy, a właściwie bardziej od tego czy będziemy się starali mieć jakiś pozytywny wpływ na te zmiany, zależy nie tylko dalszy rozwój danej miejscowości. Zależy od tego również, czego sobie często nie uświadamiamy, byt i życie następnych pokoleń. Dla nas może mieć to wpływ na życie naszych dzieci. Na to czy zostaną one tutaj, czy wyjadą w świat. Na to czy będą one czuły, że zostając tutaj i próbując coś zmieniać w swoim życiu doprowadzić mogą do zmian na lepsze w małym organizmie miejskim jakim dzisiaj jest Wleń. Dzięki podejmowaniu prac na rzecz turystyki, może to się szybko zmienić. Gdy zacząną przybywać tu ciekawscy wszystko może zacząć rozkwitać. Trzeba zatem tylko chcieć.

## Działoszyn – świątynia księdza Popiełuszki

Kościół św. Bartłomieja w Działoszynie zbudowano w miejscu, gdzie wcześniej istniały już dwie świątynie. Pierwsza, drewniana spłonęła, natomiast druga, murowana okazała się zbyt mała dla rosnącej liczby wiernych. Sytuacja wymusiła budowę trzeciej. Jej projektantem był architekt z Liberca, Johann J. Kuntze. Jako fundatorów nowego domu bożego wymienia się cysterki z klasztoru Marienthal. Bryła tego obiektu byłaby typową gdyby nie fakt dobudowania po obu stronach wieży klatek schodowych. Tak samo dobudowano zewnętrzny ciąg komunikacyjny prowadzący do zakrystii. Całkowicie odmieniło to budowlę i nadało jej sylwetkę charakterystycznego wyglądu, dzięki któremu możemy odróżnić ów obiekt od in-

nych z tego okresu. Całości dopełniło nakrycie wieży cebulastym hełmem z prześwitem i latarnią. Na wieży tej zamontowano dwa dzwony. Pierwszy nazwano Verbum Domini (1566), drugi Ave Maria (1763). Dziś nikt nie drapie się na wieżę by wprawić ich serca w ruch sznurami. Oczywiście uruchamiane są elektronicznie. Czasami sprawia to kłopoty. Jakiś czas temu w kościół uderzył piorun i mimo założonych piorunochronów spowodował uszkodzenie instalacji elektrycznej.



złożonych piorunochronów spowodował uszkodzenie instalacji elektrycznej.

Dla równowagi sylwetki świątyni umieszczono nad prezbiterium małą sygnaturkę. Nadało to harmonię – obiekt sprawia wrażenie wyważonego. W murze okalającym świątynię umieszczono trzy zamknięte kaplice, którymi opiekują się mieszkańcy Działoszyna, Posady i Wyszkowa. Czwarta otwarta, usytuowana na wprost wieży, upamiętnia poległych żołnierzy. Można wyczytać w niej nazwiska polskie niemieckie.

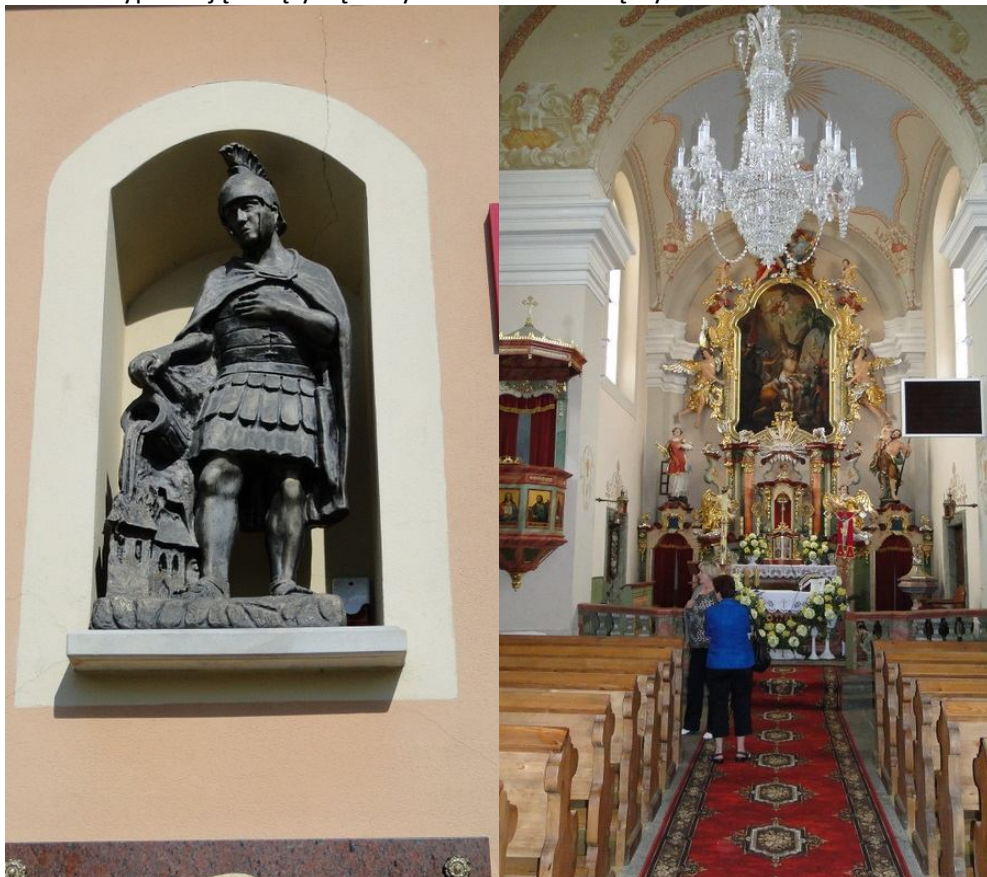
Wierni korzystają przeważnie z bocznego wejścia, są jednak plany by w wejściu głównym wstawić kraty, przez które turyści mogliby oglądać wnętrze. Na co dzień bowiem świątynia, tak jak inne w dzisiejszych czasach, jest zamknięta. Niestety nasze pokolenie straciło poszanowanie świętości i już nie można pozostawiać świątyń, w których wyposażenie często jest wiele warte, bez żadnego

nadzoru.

Działoszyński kościół budowano w okresie kiedy dominującym stylem był barok. We wnętrzu widać jego piękno w całej okazałości. Warto przypomnieć, że twórcy z tego okresu, a zwłaszcza jego schyłku – rokoko, za cel stawiali sobie ukazanie piękna w każdej postaci. W Działoszynie właśnie ukończono prace remontowe, więc wszystko lśni i. Po wejściu do środka przykuwa uwagę ołtarz główny, w

którym najważniejszym elementem jest obraz "Męczeństwo św. Bartłomieja". Namalował go Leubner z Reichenbergu pod koniec XVIII wieku. Po obu stronach ołtarza umieszczono figury świętych: Wawrzyńca oraz Krzysztofa niosącego na ramieniu małego Jezusa. Obok stoi także bardzo ładnie dekorowana chrzcielnica z 1783 roku, na której rzeźby przedstawiające św. Jana, który chrzci Jezusa.

W ołtarzach bocznych umieszczone są relikwie świętych - po dwie w każdym. Uroku całości dodaje kształt nawy głównej podzielonej na dwie części, o falistych emporach z prospektem organowym. Słoneczne promienie wpadające przez witraże wypełniają świątynię wszystkimi kolorami tęczy.



Dlaczego jednak jest to świątynia księdza Jerzego Popiełuszki? Każdy może się przekonać o tym odczytując inskrypcję na tablicy z wizerunkiem księdza Jerzego umieszczonej przy bocznym ołtarzu: **ZŁO DOBREM ZWYCIĘŻAJ**. W kościele pod wezwaniem św. Bartłomieja w Działoszynie dnia 11 czerwca 1972 roku **BŁOGOSŁAWIONY KSIĄDZ JERZY POPIEŁUSZKO (1947-1984) MĘCZENNIK I KAPELAN "SOLIDARNOŚCI"** odprawił **MSZĘ ŚWIĘTĄ PRIMICYJNĄ**. Obok umieszczono relikwię błogosławionego.

Warto zatem odwiedzić Działoszyn aby obejrzeć piękny kościół św. Bartłomieja, a zarazem miejsce mające związek z wielką historią. Bo nie każda parafia

może się pochwalić, że dzisiejsi błogosławieni byli uczestnikami życia duchowego jej mieszkańców.

Wydawca:  
Komisja Krajoznawcza Oddziału „Sudety Zachodnie”  
Jelenia Góra – maj 2011  
Adres do korespondencji: [teca20@wp.pl](mailto:teca20@wp.pl)